

Anna Soćko

Sygnatura notacji: **N0441**

Data urodzenia: **27.01.1937 r.**

Data nagrania: **24.03.2023 r.**

Miejsce nagrania: **Dom świadka, Warszawa, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Szymon Nowak**

Czas nagrania: **38 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Anna Soćko: z domu Girzejowska. Urodziłam się w roku 1937, czyli 2 lata przed wybuchem II wojny światowej, w Borysławiu. To są Kresy, powiat Drohobycz. Moje wspomnienia z lat 1939 i 1941, kiedy w rejonie tym byli Sowieci, była sowiecka okupacja, są bardzo małe. Większość wspomnień to są właściwie opowieści moich rodziców, głównie mamy. Natomiast okres okupacji niemieckiej, po 1941 roku, byłam już nieco większym dzieckiem i trochę wspomnień mi pozostało w pamięci. Mama zawsze twierdziła, że okres okupacji sowieckiej dla mieszkających tam Polaków był dużo gorszy niż okupacja niemiecka. Niemcy prześladowali głównie Żydów, deportowali ich, wywozili. Natomiast Sowieci wywozili na Sybir lub do Kazachstanu rodziny polskie, względnie rodziny osób zamieszanych w jakieś sprawy dla nich niewygodne. Rodzice moi poznali się w Borysławiu, ale ojciec studiował we Lwowie na politechnice chemię i pracował długie lata w przemyśle naftowym i gazowym. Zajmował się eksploatacją uzyskiwanych wtedy surowców. Natomiast mama była mikrobiologiem i pracowała w laboratorium, gdzie badała krew, mocz i inne rzeczy. Miałam jeszcze brata Bogusława, starszego ode mnie około 7 lat. Ojciec miał na imię Janusz, mama Irena. Z okresu okupacji sowieckiej znam tylko pewne fakty od mamy. Mama miała szefa, którego od razu na początku Sowieci wywieźli na Sybir, ponieważ był on ndekiem, może sprawował jakąś funkcję w partii. I dostała mama szefa nowego, był to jakiś przedwojenny komunista z rodziny żydowskiej, z zawodu cukiernik. Miał za zadanie pilnować, żeby mama, na przykład pobierając krew czy też biorąc treść żołądkową od żołnierzy sowieckich, którzy bardzo często mieli problemy gastryczne, żeby było wszystko w porządku. Nawet próbował według słów mamy nauczyć się pobierać krew albo zakładać sondę żołądkową, ale tak w wypadku sondyomalże nie udusił żołnierza, bo zamiast do żołądka wpychał mu sondę do tchawicy, a jak pobierał krew z żyły, zresztą bardzo wyraźnej, przebił ją na wylot, zrobił się wielki siniak, a on sam zemdlął. Więc wtedy powiedział do mamy: „To ja już nic nie będę robił, tylko ja pani

przyniosę przepisy z cukierni". Rzeczywiście przynosił mamie przepisy na różne wyroby cukiernicze, takie dosyć oszczędne, jak to było w czasie wojny. Tak się nawet zaprzyjaźnił z mamą, że ostrzegał ją przed pewnymi ludźmi, pracownikami tej przychodni, że przy nich nie należy narzekać ani nic krytykować, bo oni donoszą. Momentu napadu Niemiec na Związek Radziecki i zajęcia tamtych terenów ja nie pamiętam, więc być może to się odbywało w jakiś sposób spokojny. Nie było żadnych bombardowań ani ostrzeliwań, więc widocznie Sowietci po prostu uciekli, a Niemcy zajęli Borysław i okolice. Nie pamiętam, za jakiej okupacji zostaliśmy wysiedleni z takiego budynku, gdzie mieliśmy ładne mieszkanie. Znaleźliśmy się w takim małym domku nad jakimś niewielkim potokiem. Mieszkaliśmy tam do 1942 roku i już w czasie okupacji niemieckiej Borysław nawiedziła wielka powódź, ponieważ potok, który normalnie można było prawie przeskoczyć, zamienił się w rwącą rzekę, więc musieliśmy się z tego domku nagle ewakuować do znajomych, którzy mieli dom na górze, i u nich zatrzymaliśmy się na kilka dni, przenocowaliśmy tam. Kiedy wróciliśmy po kilku dniach, okazało się, że woda zabrała całą ścianę tego domu i nie dało się tam po prostu mieszkać. Trzeba było coś załatwić. Wówczas w Borysławiu funkcję, nie wiem, czy mera, czy jakiegoś urzędnika, który załatwiał różne sprawy, pełnił Ślązak, który nawet dość dobrze mówił po polsku, i mamie udało się z nim załatwić zastępcze mieszkanie w dzielnicy zwanej Wolanka. Było to w domu dwurodzinnym. Myśmy dostali mieszkanie od frontu, które było nieco gorsze. To były dwa pokoje z kuchnią, ale bez łazienki. Natomiast w drugiej części domu mieszkało małżeństwo mieszane polsko-ukraińskie. Kobieta była Polką, przepraszam, polsko-niemieckie. Kobieta była Polką, a mąż jej był Niemcem. To było małżeństwo bezdzietne. Ona starała się z nami zaprzyjaźnić i nawet mnie czasem przynosiła trochę jakiegoś jedzenia czy słodyczy. A mamie udało się wykryć u niej ciężką cukrzycę. Bo mama po przeniesieniu się do tego domu otworzyła małe laboratorium takie bakteriologiczne. Od znajomych lekarzy dostała pożyczony mikroskop, szkło laboratoryjne i odczynniki. Tak że badała krew i mocz głównie. I mama u niej wykryła w moczu nie tylko cukier, ale i aceton, co świadczyło o zaawansowanej formie cukrzycy. Ona na dowód życzliwości i chcąc się zrewanżować, przyniosła mi dość dużą lalkę, co było dla mnie wielką radością, gdyż większość sprzętu w tym okresie mama wysprzedawała zamieniając to na jedzenie. Nowy dom na tyłach miał duże podwórko, gdzie stał nieduży taki biały domek, w którym prawdopodobnie kiedyś mieszkał dozorca lub ogrodnik, a dalej wchodziło się do ogrodu. Najpierw był sad, gdzie było kilka trochę zdziczałych drzew, a potem dość spory obszar ogrodowy, gdzie były też porzeczki czarne, białe i agrest. Podzieliliśmy się tym ogrodem na trzy części i każdy swoją część uprawiał. Było dla nas dużym osiągnięciem zdobycie jarzyn świeżych, które mama tam posiała, posadziła razem z moim bratem. Niedługo po przeprowadzce do tego domu mama sprzedała pianino, które miała jeszcze z czasów początku swojego małżeństwa. I za to pianino kupiła kozę i dwa kwintale ziemniaków. Od tej kozy musiałam codziennie rano wypić pół szklanki koziego mleka, co podobno uchroniło mnie przed gruźlicą. Ale nie powiem, żeby to było dobre, i teraz chyba na kozie mleko nie mogłabym spojrzeć. Przychodzili różni pacjenci od znajomych lekarzy do mamy, badając sobie mocz, względnie krew, więc mama troszkę tym dorabiała. Wtedy też zaczęły się, to już było za okupacji niemieckiej, zaczęły się dookoła Bolesławia akcje takie terrorystyczne banderowców. Były podpalane wsie, wielu ludzi zginęło i był w zasadzie zakaz w stosunku do Ukraińców przynoszenia na bazar jakiegokolwiek żywności. Ale żywność można było kupić na zasadzie wymiany, ponieważ mama miała sporo rzeczy zgromadzonych jeszcze wcześniej u siebie, między innymi jakieś pościelenie, zasłony, ojca koszule, więc to wносиła na bazar i za to można było artykuły spożywcze kupić. Takim poszukiwanym artykułem była wtedy pszenica, taka ciemna pszenica, z której gotowało się tak zwaną paciare. To znaczy pszenicę mielono w młynku do kawy i gotowało się tak na gęsto, jak się teraz gotuje kaszę mannę. I to polane kozim mlekiem było przeważnie dla nas jedzeniem na śniadanie. Najbardziej poszukiwanym

artykułem wtedy była nafta dla ludzi mieszkających na wsi, gdzie nie było elektryczności, dla lamp naftowych. Ponieważ ojciec mój był chemikiem i pracował w jakiejś firmie pod zarządem niemieckim, ale był wysokim specjalistą tej klasy, miał dostęp do laboratorium i kilka razy w niedzielę po południu rodzice poszli do tego laboratorium i ojciec tam wykonał destylację pewnej ilości ropy naftowej, otrzymując dwie czy trzy butelki nafty. Najtrudniejszym problemem było przeniesienie tej nafty przez mamę w plecaku obok posterunku niemieckiego. Więc na ogół wybierali dni, kiedy była niepogoda i była szansa, że strażnik będzie siedział w swojej budzie. Rzeczywiście jakoś opatrność nad nimi czuwała, że nigdy nie wyszedł i nie doszedł nawet do nich, bo poczułby zapach ropy czy nafty. A ponieważ był to surowiec strategiczny, groziła za to kula w łeb. Tak wyglądała mniej więcej sytuacja za okupacji niemieckiej. Pamiętam okres, kiedy zbliżał się już front, kiedy Armia Czerwona zbliżała się do Borysławia. Zaczęły się wtedy naloty, bombardowania, alarmy. W ogrodzie był rodzaj schronu, to był przerobiony kopiec, prawdopodobnie na ziemniaki i jarzyny, i tam w tym kopcu często w nocy, jak był alarm, uciekaliśmy i chroniliśmy się tam, gdy spadały bomby na Borysław czy jego okolice. Pamiętam też taką akcję, było to chyba w roku 1944 w lecie. Była niedziela i bardzo ładny dzień, kiedy samoloty alianckie zbombardowały dużą rafinerię ropy w Drohobyczu. Najpierw nadleciała eskadra myśliwców, wyglądały jak srebrne ptaki na niebie, tak ja to odbierałam jako dziecko. Zatoczyły koło, oznaczając teren białym dymem. Następnie nadleciały bombowce i zrzuciły dość sporo bomb na ten „Polmin”, na tę rafinerię ropy. Słyszałam, że zginęło bardzo dużo ludzi, polskich robotników, gdyż to była pora zmiany, jak by to nazwać, zmiany w pracy, to znaczy opuszczali fabrykę z pierwszej zmiany i przychodzili drudzy. Ale nie zdążyli wszyscy jeszcze wyjść, a przyszli już następcy. I dużo Polaków wtedy, dużo robotników zginęło. Do Borysławia dochodziły też wiadomości z Polski, między innymi o wybuchu Powstania Warszawskiego i o jego upadku. Doszła również informacja, że na podstawie chyba porozumienia w Jańcu ten teren będzie teraz należał do Związku Radzieckiego. Ale na razie nie było jeszcze informacji, co mają zrobić Polacy, czy mają się wycofać, czy mają wyjechać. Dopiero na jesieni zaczęły się pierwsze transporty, kiedy już pewna część terenów Polski była wolna od okupacji niemieckiej, zaczęli już pojedynczy Polacy wyjeżdżać na teren Polski, ewakuować się. Najgorsze wspomnienia dla mnie wiążą się z przełomem roku 1944 i 1945, a właściwie ze świętami Bożego Narodzenia, które wtedy miały miejsce. Ojciec cały czas pracował, teraz już w firmie zarządzanej przez Sowieców. W Wigilię, która wypadła wtedy w niedzielę, po południu byłam chora i leżałam w łóżku, miałam jakąś tam temperaturę, a wtedy się przeważnie w ten sposób dzieci leczyło, że się je do łóżka wkładało, mama wpadła do pokoju i krzyknęła do ojca: „Uciekaj!”. Ojciec zasnął w sąsiednim pokoju. Mieszkanie było parterowe, więc jakoś się wydostał przez okno. I tam gdzieś na zapleczu się schował, zdaje się, w tym pomieszczeniu, gdzie koza była. Przyszło dwóch NKWD-zistów z karabinami i szukali jakiegoś Ziółkowskiego. Potem kto tu mieszka, jakieś dokumenty, jakieś coś, a na koniec padło sakramentalne zapytanie: „A gdzie wasz mąż?”. A mama odpowiedziała: „Ujechał w Lwiv w balnicu”. Pojechał do Lwowa do szpitala. Więc przeszli się po mieszkaniu, jeden zdjął karabin, ja to już pamiętam, i wyszli. Za jakiś czas ojciec wrócił do domu, żeby zabrać jakieś ciepłe rzeczy na siebie i żeby wyjść do znajomych. Ale nie wierzył w to, że oni przyszli po ojca, tylko szukali jakiegoś Ziółkowskiego. I na drugi dzień, chociaż to był pierwszy dzień świąt, ale u nich było inaczej z tym, poszedł rano do pracy. Ale przed pracą ostrzegł go ukraiński robotnik. Powiedział: „Panie inżynierze, niech pan tam nie chodzi, bo NKWD na pana czeka. Pytają o pana i czeka”. No to ojciec zrobił w tył zwrot i schował się u znajomych. Chyba w dwóch czy trzech mieszkaniach ukrywał się przez ten cały okres, aż do naszego wyjazdu. A mama zaraz po 1 stycznia zaczęła załatwiać taki list przewozowy, który by pozwolił nam wyjechać z Borysławia. Trzeba było to załatwiać nie w Borysławiu, tylko w Drohobyczu, gdzie mieścił się odpowiedni urząd, bo to było miasto po-

wiatowe. I mama przez tydzień codziennie tam chodziła, o 6 rano wychodziła z domu, tam było około 7–8 kilometrów. Szła sama przez las. Ciągłe czekali na jakieś nowe, wymagali jakichś nowych pism, jakichś nowych zaświadczeń, jakichś metryk ślubu, naszego urodzenia, mnie i brata. Tak że trwało to cały tydzień, ale w końcu w sobotę otrzymała ten list. Teraz trzeba było załatwić jakiś transport. Pociągi jeszcze nie kursowały. Więc mama wśród znajomych pytała, czy mają możliwości jakoś jej pomóc. Ludzie sobie wtedy bardzo pomagali nawzajem. I ktoś mamie dał namiar na firmę, która jakąś dużą maszynę wysyłała gdzieś w rejonie Sanoka. I jechały z tą maszyną dwa ciężarowe samochody wojskowe sowieckie. Musiała teraz zgromadzić pieniądze, żeby opłacić ten przejazd. Więc sprzedała, co się dało, m.in. dwa sygnety, swój i ojca, dwa duże kilimy, jeździła do Drohobycza, brat z nią jeździł, bo na sankach wieźli te kilimy, bo były za ciężkie, żeby je nieść. Sporo ojca koszul, pościeli, bielizny pościelowej, takie rzeczy udało jej się zgromadzić, ale nie wszystko. Ktoś ze znajomych, przyjaciół, ale nie wiem kto, pożyczył jej pieniądze. I załatwiła ten transport. Jechały z nami dwie ciężarówki. Ktoś z tych znajomych jeszcze powiedział mamie, że musi zabrać ze sobą kilka butelek bimbru, gdyż ci żołnierze kierowcy co jakiś czas będą się zatrzymywać, że jest jakaś awaria silnika, i wtedy trzeba im, jak tam coś postukają, coś tam spróbują niby naprawić, to na rozgrzewkę trzeba im było butelkę bimbru dać jedną, oni to kolejno wypili. Były to dwie ciężarówki, jedna była z tą maszyną, gdzie nasze rzeczy, które zmieściły się w dwóch kufrach, kilku walizkach, plus maszyna do szycia mamy, bo mama trochę szyła, i moje składane łóżeczko dziecinne się zmieściło, i rodzice, i brat. A mnie wzięli ci żołnierze do szoferki razem z takim małym pieskiem Kropką, którą ja trzymałam na kolanach. Mieli przyjechać o 6 rano 12 stycznia. Pamiętam tę datę, bo to były moje urodziny. Ale nie przyjechali o 6 rano, tylko o 15 po południu. Ponieważ ojciec cały czas się ukrywał, pojechali do centrum Borysławia, bo my mieszkaliśmy na tak zwanej Wolance. I tam brat poszedł do ojca, bo wiedział, u kogo jest. Ojciec przyszedł, maszerując przez całe centrum Borysławia. Spotkał go jakiś ukraiński robotnik, który się tak na prawo przeżegnał i powiedział: „Boh prowody” [ukr. Boże prowadź]. Wsiedliśmy na tę ciężarówkę, ale zaraz zaczęło się robić ciemno, bo to był styczeń, 12 stycznia. Zatrzymaliśmy się w nocy w jakiejś wsi polskiej i do jakiegoś domu tam nas ci żołnierze doprowadzili. I tam nas przyjęli bardzo serdecznie, taka kobiecina pościeliła nam jakieś sienniki w pustym pokoju i dała nam nawet pościel, tam żeśmy przenocowali, a rano przyniosła duży garnek ciepłego mleka i trochę chleba przez siebie upieczonego. Następnego dnia przed południem wyjechaliśmy w kierunku granicy. Punkt graniczny mieścił się w Ustrzykach. Na granicy nie było specjalnie problemu, tylko jeden z pograniczników chciał zabić psa, moją Kropkę, więc ja ją szybko wzięłam na ręce, bo to pamiętam, i Kropka ocalała. Przyjechaliśmy do Sanoka, gdzie w szkole mieścił się punkt dla repatriantów. Tam nas przyjęli, bo była jakaś grupa Polaków, która się opiekowała repatriantami. Ten skromny nasz dobytek ci żołnierze nam wynieśli. Dostali drugą część zapłaty, bo pierwszą dostali przy wyjeździe z Borysławia. I jeszcze butelkę bimbru. Więc wnieśli nam to do pustej klasy, gdzie stała sterta ławek na środku i oddzielała tę klasę na dwie części. W drugiej części mieszkał jakiś Polak, taki rolnik, który gdzieś mieszkał blisko granicy, już tej nowej wytyczonej, ze swoim chyba 10-letnim synem. I miał furmankę i konia, z którą przejechał granicę. I mieszkając tam kilka dni, żeśmy się z nim prawie zaprzyjaźnili. Następnego dnia dostaliśmy takie jakby talony, które upoważniały do litra chyba mleka dla dzieci, więc dla mnie i dla brata. Brat miał wtedy 14 lat, ja 8. Drugim punktem, gdzie dostawaliśmy zupę, głównie krupnik albo kartoflanę, to był klasztor zakonny, gdzie siostry te zupy gotowały. Po te rzeczy chodził brat, bo mama powiedziała, że boi się wyjść na ulicę po tych wszystkich przeżyciach. Tam w Sanoku byliśmy przez kilka dni, a ojciec zaczął się rozglądać za pracą. W Sanoku mieściła się dyrekcja kopalnictwa naftowego i ojcu tam zaproponowali pracę kierownika gazoliniarni w miejscowości Grabownica, odległej 16 kilometrów od Sanoka, a 6 kilometrów od Brzozowa. Tam przyjechaliśmy

najpierw do jakiejś kobiety na wsi, gdzie nas ulokowali, a chyba za tydzień czy dwa dostaliśmy taki rodzaj służbowego mieszkania w dyrekcji tej gazoliniarni. To był duży pokój z dużą kuchnią, ale była woda i był gaz. Była kuchnia taka duża, ale ogrzewana gazem i mama tam zagrzała dwa duże garnki wody. I chyba po miesiącu wszyscyśmy się przyzwócili umyć, a mama zaczęła zwalczać u mnie wszy, których się nabawiłam od tych żołdatów w samochodzie, w tej ciężarówce. Wkrótce potem, znaczy następnego dnia czy dwa dni później jechała furmanka do odległego o 6 kilometrów Brzozowa, gdzie mieściło się gimnazjum. I mama zapisała mojego brata Bogusława do tego gimnazjum. Codziennie jeździła z Grabownicy do Brzozowa taka furmanka, która zawoziła jeszcze chyba dwoje dzieci w jego wieku właśnie do szkoły, a około 14 wracała do Grabownicy. Wtedy już trochę żeśmy odetchnęli, przede wszystkim już nie groziło nam NKWD i można było coś kupić, bo ojciec na początku pracy dostał rodzaj zaliczki, więc już były pewne towary, które można było kupić normalnie za pieniądze. A ja spytam o taką sprawę, bo pani tata był jakoś zaangażowany w konspirację? Ojciec należał do AK. Ale to była taka działalność bardziej informacyjna, to znaczy zbierali informacje w czasie okupacji niemieckiej o transportach wojskowych, zwłaszcza o sprzęcie wojskowym jadącym na wschód, na front wschodni. I to zostawało tam przez kogoś przekazywane dalej chyba do Londynu. Ojciec tu napisał swoje wspomnienia i w takim biuletynie wydawanym przez Stowarzyszenie Przyjaciół Ziemi Drohobyckiej napisał swoje wspomnienia i swoją opinię o działalności AK na tym terenie. Dlatego NKWD go później tak szukało. Tak, a potem jeszcze szukała go nasza bezpieka niestety. Ja już do szkoły wtedy nie poszłam, bo to była już taka późna wiosna, bo wyrosłam z butów i nie miałam po prostu w czym pójść do szkoły. Trochę mnie mama i brat uczyli podstawowych działań matematycznych i pisowni i dopiero od września poszłam do trzeciej klasy, bo w Borysławiu zaczęłam chodzić do pierwszej klasy, trochę się nauczyłam. Między innymi nauczyłam się dużo kaligrafii i właściwie przez całą szkołę nie miałam problemu z pisaniem względnie wyraźnym.

Szymon Nowak: I to już był rok 1945?

Anna Soćko: 1945 był rok, tak. W lecie ojciec załatwił jakąś ciężarówkę i pojechał po mamę mojej mamy, czyli moją babcię, do Sieradza, bo babcia po śmierci dziadka została właściwie bez środków do życia. Babcię przywiózł do nas, a mama miała brata starszego o dwa lata, który w czasie wojny przedostał się jakoś przez Francję do Kalifornii, do Stanów Zjednoczonych. Tam była siostra jego żony, jego szwagierka, i ona im tam trochę ułatwiła życie. Oni tam zamieszkali i już tam został właściwie do końca życia. I jak się z nami skontaktował, to zaczął nam przysyłać takie paczki żywnościowe, gdzie było trochę ryżu, mąki, kilka konserw, herbata. Wtedy chyba pierwszy raz poznałam smak prawdziwej herbaty, bo za okupacji to piło się przeważnie kawę zbożową albo herbatę taką z mięty albo rumianku. Więc wujek zaczął to przysyłać i ze względu na to, że myśmy babcię, czyli jego matkę, wzięli do siebie, to starał się jakoś pomóc finansowo. Ale też jeszcze jemu się tam kiepsko powodziło, bo jeszcze się tam nie urządził prawie. Poszłam od września do szkoły, do trzeciej klasy, i w Grabownicy mieszkaliśmy mniej więcej półtora roku. A potem, nie wiem, ojciec spotkał chyba kogoś ze znajomych, który namówił go na pracę w Zabrze, w firmie, która zajmowała się przerobem węgla na gaz. Ale tam pracował niedługo, bo potem go ściągnęli już do tych przedsiębiorstw takich typowo gazowo-naftowych. Mieszkaliśmy kolejno w Tarnowie i w Krośnie. A w Krośnie ojcu zaczęła trochę deptać po piętach bezpieka. I stwierdził, że jak się przeniesie do Warszawy, gdzie mieliśmy całą rodzinę, mamy zresztą do tej pory dużo jej członków, że tam się jakoś zgubi w tym tłumie. Ale to było błędne mniemanie, bo po jakimś czasie dorwała się do niego bezpieka, kazali go z pracy zwolnić, wzywali go na przesłuchanie, ojciec się tłumaczył,

że ustawa nakazująca ujawnienie się członków AK obejmuje teren Polski. A Borysław nie był już polski, ani wtedy, kiedy ojciec należał do AK, ani po wojnie. Ale usłyszał od ubeka: „Nie bądź taki mądry, bo najwyżej będziesz mógł być pastuchem w PGR-ze”. I wtedy ojcu znajoma prawniczka jego siostry, która w Warszawie mieszkała, poradziła, żeby napisać odwołanie do KC. Bo podobno KC z UB nie bardzo się kochali. I ojciec to zrobił. I tam dostał bardzo szybko wezwanie na rozmowę. I już inaczej z nimi rozmawiali. I po dwóch tygodniach dostał decyzję, że w Warszawie nie może pracować ani mieszkać, ale może pracować w Tarnowie w przedsiębiorstwie Gaz Ziemny. To ojciec tam pojechał, tam go rzeczywiście przyjęli, z tym, że spotkał tam znajomych, więc ktoś mu się przyznał, że dostali, nie wiem, czy telefon, czy inną informację, że mogą go zatrudnić na najniższej stawce na jego stanowisku. Ale po roku dostaliśmy służbowe mieszkanie w Tarnowie, taki pokój z kuchnią, znaczy przez firmę załatwiony. Ale ja już w tym czasie zdałam maturę w Krośnie, kończyłam szkołę, podstawowe ostatnie klasy i średnią. I dostałam się na studia do Krakowa na Akademię Górniczą, gdzie skończyłam geofizykę. To tyle odnośnie do moich wspomnień do czasu, że tak powiem, pełnoletności. Skończyłam studia, mieszkałam w dość, powiedziałabym, prymitywnych warunkach w Krakowie, bo wtedy ciężko było o jakieś lokum. I po dwóch latach przyjechałam do Warszawy do pracy, tu mi ktoś pomógł w załatwieniu pracy w firmie bardzo podobnej. A mieszkałam u swojej ciotki w Pyrach, która miała tam dom i rodzina ma w dalszym ciągu ten dom. I po roku wyszłam za mąż. Zamieszkaliśmy z mężem na Pradze w takim 25-metrowym pokoju. Tam się urodziła nasza córka. Potem dostaliśmy mieszkanie spółdzielcze, jedno i drugie, bo to jest drugie mieszkanie. Jakoś tak wyglądało moje życie. Pracowałam 35 lat, 2 lata w Krakowie, 33 lata w Warszawie. I w tej chwili jestem na emeryturze. Co pani tak najbardziej zapamiętała z czasów wojny, okupacji jako dziecko? Ten wyjazd wtedy tym samochodem wojskowym, sowieckim. I ta sytuacja przed samym wyjazdem, bo ci NKWD-iści przychodzili średnio co drugi, trzeci dzień o różnych porach dnia i nocy, a przeważnie o drugiej w nocy, pytali stale o tego Ziółkowskiego, a to chodziło o ojca. A ta nasza suczka, którą obroniłam wtedy na granicy, ona ich tak wyczuwała z daleka, że jak już się zbliżali do furtki, to zaczynała szczeekać. Jak to była noc, to mama się budziła i już była nastawiona na to z nimi spotkanie i tłumaczenie. A ci pogranicznicy, którzy chcieli zabić tego pieska? Nie, to był taki drobny incydent. Ale to Rosjanie? Tak, Rosjanie. Jeśli chodzi o akcje jakieś przeciwko Żydom, które miały miejsce za okupacji niemieckiej, to słyszałam, że podobno w Borysławiu był rodzaj getta. I z tego getta czasami wykradało się jakieś dziecko, które chodziło po śmietnikach i szukało resztek jedzenia. I kiedyś do nas przyszedł taki chłopiec, może 8., 10-letni, i grzebał w śmietniku. I wiem, że mama mu dała kilka cebul i parę kartofli. I poszedł. Były jakieś akcje wywożenia Żydów stamtąd. To wiem od mamy opowieści, ale nie pamiętam, czy mama to osobiście widziała, że pędzili taką gromadę Żydów przez ulicę w Borysławiu i jakieś dziecko nagle zaczęło uciekać. Niemiec zdjął karabin i strzelał do niego jak do kaczki. W końcu go zabił oczywiście. I wiem też, że chyba ze dwa czy trzy razy przychodziły takie grupy, to byli Niemcy i jakaś policja, ktoś z policji żydowskiej z tą gwiazdą Dawida na ramieniu, i szukali, czy nie ukrywamy Żydów. Bo później się dowiedziałam, że tam były przypadki, między innymi ten Szewach Weiss, który był u nas ambasadorem Izraela, że on był ukrywany przez polską rodzinę, i to niedaleko nas, u takiej rodziny Potężnych, w takim fragmencie komórki, gdzie siedział razem z rodziną. Ale przeżył jakoś. A pani też wspominała, że bardzo głód był w czasie okupacji, tak? Powiem szczerze, że głodu nie pamiętam, żebym chodziła głodna. Mama jakoś potrafiła, ponieważ mieliśmy trochę w ogrodzie jarzyn, więc były jakieś tam pomidory czy ogórki, czy trochę marchewki, czy czegoś, więc jakoś tam zupę zawsze ugotowała. Ale pamiętam, że z bratem marzyliśmy o tym, bo chleb był jakiś na kartki, ale on był, zdaje się, bardzo niedobry, ciemny, że marzyliśmy o tym, żeby mama bochenek chleba jasnego położyła na stole, żebyśmy mogli go ukroić i zjeść tyle, ile będziemy chcieli. Bo chleb jasny, ale to już chyba

po, chyba za okupacji niemieckiej, to w jakichś niewielkich ilościach udało się mamie czasem zdobyć, ale to było niemalże jak na deser. A na ogół był ciemny chleb, była jakaś zupa taka kartoflano-kaszowa ugotowana i to kozie mleko, do którego w tej chwili mam wstręt. Chyba pod bronią sterroryzowana mogłabym się napić koziego mleka, chociaż ser kozie lubię, nie mogę powiedzieć. A pani też wspominała, że przychodziła do państwa Ukrainka z nabiałem, tak? Sprzedawała. I jak to się skończyło? Nie wiadomo. Bo myśmy wyjechali, jak jeszcze... W każdym razie potem już nie przychodziła, raczej te zakupy, takie wymienne robiło się z polskimi rolnikami, bo coś przywozili na targ, ale nafty to się na targu nie sprzedawało, bo było niebezpiecznie, więc gdzieś się umawiali kupujący i sprzedający w jakimś zaułku czy jakiejś ulicy, czy gdzieś. I tam się odbywał ten handel zamienny na naftę. O tej Ukraince pani opowiadała, ale chyba mieliśmy niewłaściwą kamerę. Jak to z nią było, bo ona przychodziła, ale... Ona przychodziła przed wojną. Tak, a któregoś dnia powiedziała... Że jest ostatni raz, bo synowie jej powiedzieli, że jak ty jeszcze raz pójdziesz do Laszki i zanieśesz jej ten nabiał, to my cię będziemy musieli zarezać [ukr. zarżnąć]. Ale przypomina mi się, że kiedyś przyszedł jakiś znajomy robotnik, który chyba pracował w tej firmie, gdzie ojciec był wiertaczem, i w nogawce spodni, w takiej specjalnej szytej podszewce, przyniósł osetkę masła i buteleczkę śmietany. I mówił, że szedł jakimś polami, bo się bał, że jakby go dorwali ci banderowcy, to by go zabili, że on z tym idzie do Polaków. Wspomnę to, że w tym pomieszczeniu gospodarczym oprócz tej kozy brat zbił taką klatkę i hodował króliki. I mięso królika było jedynym mięsem, które od czasu do czasu żeśmy jedli. Tak się złożyło, że koza też, trochę mi niezręcznie o tym mówić, w okresie rui zaprowadzili ją chyba mama z bratem do samca i koza na wiosnę urodziła trzy kozłeta. Były dwie kózki i jeden capek. Capek, jak miał kilka tygodni, to się nadawał do zjedzenia i też stanowił nasze mięsne danie. A koza jedna była chora i się ją zabiło. I też żeśmy ją zjedli, a ta druga przeżyła i one później zostały, jak myśmy wyjeżdżali, w Borystawiu w tej szopie. Jeszcze powiem może o tym mieszanym małżeństwie polsko-niemieckim, że ta Polka, ta żona tego Niemca, jak Niemcy uciekali w 1944 roku, to ona zaproponowała mamie, żebyśmy się przenieśli do jej mieszkania. Bo oni mieli też dwa pokoje z kuchnią, ale u nich była łazienka, a u nas nie było łazienki. I do niej przyszli jacyś niemieccy robotnicy, którzy ich załadowali na ciężarówkę. I nasze meble przez takie ruchome drzwi, które były między mieszkaniami, przenieśli z naszego mieszkania do ich mieszkania. Zachowała się, powiem, przyzwoicie. Ale pewnie była wdzięczna za tę wykrytą cukrzycę, bo zaczęła się po prostu leczyć.